

Słony wiatr

KATARZYNA BATKO

Katarzyna Batko
Słony wiatr

© Copyright by
Katarzyna Batko & e-bookowo
Projekt okładki:
Katarzyna Batko

ISBN 978-83-7859-624-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2016

Rozdział pierwszy: Tryton

I

Morskie dno wyraźnie wznosiło się ku wybrzeżom.

By zachować jak najszersze pole widzenia, starał utrzymać się na powierzchni. Tymczasem wściekły sztorm miotał nim jak szmacianą kukłą. Dno nieustannie to wypiętrzało się, to opadało, tworząc mielizny i głębsze niecki.

Z całą pewnością zbliżał się do lądu. Był teraz gdzieś na przybrzeżnym szelfie, daleko od bezpiecznych głębin.

Uparcie walczył z prądami, z mozołem pokonując odległość wciąż jeszcze dzielącą od brzegu. Ten zaś, choć przesłaniały go szalejące fale, musiał być niedaleko, bo Loannar czuł pod skórą charakterystyczne mrowienie towarzyszące transformacji.

Ogon zaczął zanikać i wkrótce w jego miejsce ukształtowały się dwie ludzkie kończyny. Teraz jednak, w lądowej postaci, o wiele trudniej było zmagać się ze wzburzonym morzem.

Fale rzucały trytonem, bezlitośnie objijając ciało o podwodne skały. Skrzela także już zanikły i dodatkowo musiał walczyć o utrzymanie głowy nad powierzchnią wody, by móc oddychać. Z nóg niewielki miał w tych warunkach pożytek, szczególnie że mało używane mięśnie były słabe i podatne na obezwładniające skurcze.

W pewnej chwili silny, powierzchniowy prąd porwał go i ciśnął o przybrzeże. Ostra krawędź skały boleśnie rozorała muskuł. Woda wokół natychmiast zabarwiła się na czerwono.

Przy kolejnym szarpnięciu z rozmachem uderzył o głowę o skałę. Krew zalała mu oczy i stracił świadomość...

Marike jak każdego dnia wstała o świcie. Wydoiła dwie kozy i wypuściła je z obórki.

Maleńka, samotna chatka stała na wrzosowiskach, z dala od wioski. Do niedawna mieszkała tu razem z matką. Jednak od dnia, w którym Beire umarła, a stało się to jakieś dwa lata temu, dziewczyna żyła na tym odludziu zupełnie sama. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze tak było. Zawsze była sama. Nie miała przyjaciół i towarzyszy zabaw. Będąc dzieckiem, Marike bawiła się sama, za towarzystwo mając wiatr, słońce i morze. Kiedy dorosła wiodła samotne życie i wciąż jej jedynymi przyjaciółmi było słońce, wiatr i morze.

Ludzie z osady nie pozwoliliby córce Beire zamieszkać pośród nich. Tak jak nie pozwolili pozostać tam jej matce. Opowiadali, że kobieta musiała zadać się z demonami. Nie było dla niej miejsca pośród uczciwych i bogobojnych.

Rzecz wydarzyła się przed dziewiętnastoma laty...

Kilkoro młodzików i dziewcząt wybrało się na morze dla zabawy. Zabrali łódź ojca jednego i wypłynęli, nie pytając nikogo o zgodę. Zerwała się burza...

Kilka dni później jedną Beire zaleziono na plaży. Żywą. Nigdy nie odnaleziono ani wraku łodzi, ani ciał innych uczestników tragicznej wycieczki. Od ocalałej w niepojęty sposób Beire nie zdołali się dowiedzieć, co dokładnie się zdarzyło. Nie chciała mówić, a oni nie potrafili wybaczyć, że przeżyła. Wkrótce potem okazało się, że jest brzemienna.

Wypędzono ją z wioski.

Kobieta taka jak ona, której hańbę okrywała niewyjaśniona tajemnica, nie mogła przecież mieszkać wśród „sprawiedliwych”.

Odeszła. Zamieszkała w starej chatce na wrzosowiskach. We właściwym czasie urodziła córkę.

Czarownica, morska wiedźma, tak mówiono o Beire z klifów. Nie było jednak ani prawdy, ani sprawiedliwości w tych oskarżeniach. Znała się jedynie trochę na leczniczych ziołach, ale tylko tyle.

Żyła samotnie z córką, a nie mogąc liczyć na niczyją życzliwą pomoc, musiała nauczyć się radzić sobie bez niej. Tego nauczyła także córkę.

A teraz Marike sama mieszkała w małej chacie na wrzosi-wiskach.

Ludzie bali się jej, choć nigdy nikomu nie wyrządziła krzywdy. Unikali jak ognia, jak zarazy. Ledwie tolerowano, że dziewczyna raz w tygodniu zachodziła do wsi, by na targu sprzedać kozie sery. Czasem miała też na zbyciu trochę bursztynow zbieranych na wąskich, kamienistych plażach u stóp klifów. Można było je tam znaleźć wyrzucone przez jesienne i zimowe sztormy.

Tej nocy był sztorm. Gwałtowny i straszny. Wiatr wył przeraźliwie, targał i tłukł okiennicami lichej, zbitej z nieociosanych bali chatki, jakby chciał powyrywać je z zawiasów. Marike kuliła się w łóżku, nakrywając głowę połataną kołdrą i tuliła małego, kudłatego psiaka, Nida.

Wiosną znalazła go w lesie, gdzie ktoś o okrutnym sercu przywiązał nieszczęsne stworzenie do drzewa, zapewne chcąc się go pozbyć. Zwierzak był przerażony, wycieńczony i brudny. Marike zabrała go do domu, nakarmiła i odtąd wdzięczny psiak nie odstępował jej na krok.

Towarzyszył w wyprawach na targ i samotnych, długich wędrówkach po plażach, na które lubiła się wypuszczać w poszukiwaniu jadalnych skorupiaków wyrzucanych przez przypyływy.

Małże, zbierane na wybrzeżach, i ryby, które łowiła, jeśli akurat miała haczyki, były jedynym mięsem, jakie od czasu do czasu gościło na skromnym stole.

Dla urozmaicenia monotonnego menu, na które składały się głównie ser i kozie mleko, zbierała też na plaży jadalne wodorosty. Nawet chleb nieczęsto zdarzało się jej jadać. Jedynie od święta, kiedy odwiedzała ją stara kuzynka matki. Staruszka przynosiła wtedy trochę mąki, oliwy, czasem kilka jajek.

Raz kobieta, której dziewczyna dała zioła na bóle brzucha, z wdzięczności podarowała jej mały garnuszek miodu. Cóż to była za uczta.

Czasami Marike ukradkiem zbierała na polach zgubione kłosy. Musiała robić to w tajemnicy, tak by jej nie zauważono, jeśli nie chciała narażać się na wyzwiska i oskarżenia o kradzież. Z tych zebranych kłosów pracowicie wyluskiwała każde ziarno, suszyła i tarła na żarnach zaimprovizowanych z dwóch płaskich kamieni. Żeby starczyło mąki na dłużej dodawała do niej, startą na proszek, dębową korę. Z tej mieszanki piekła ościste, twarde placki. Smaku innego chleba nie знаła.

Cały dobytek dziewczyny stanowiły dwie kozy, kilka mocno już zużytych sztuk odzieży, które podostawała od dobrych ludzi i trochę rozlatujących się domowych sprzętów. Żyła jak niegdyś matka, ze sprzedaży serów i uzbieranych na plażach bursztynów. Teraz składała grosz do grosza, by kupić kawałek lnianego płótna na nową koszulę, bo stara nie nadawała się już do użytku. Materiał zetlał i darł się w rękach.

A gdyby tak starczyło jeszcze na kupon tkaniny z przyzwoitej wełny? Żeby mogła uszyć ciepłą spódnicę na zimę? I na nowe buty? Marzenia... Zadowoli się koszulą, spódnica da się jeszcze połatać, a buty... Nieważne, później będzie się o nie martwić.

Sprawdziła mleko w drewnianych cebrzykach w komórce. Wieczorem będzie musiała zająć się warzeniem serów, żeby były gotowe pojutrze. Wtedy pójdzie do wioski, na targ. Westchnęła ciężko.

Nie lubiła tam chodzić. Starła się unikać ludzi. Oni, też jej niechętni, zwykli byli wytykać ją palcami i szeptać za plecami bzdury. Że niby sama mieszka i z dała od wszystkich, bo czarownica i może rzucić urok, jeśli jej kto wejdzie w drogę. Wciąż w wiosce pamiętano i ku przestrodze powtarzano historię matki. Marike wiedziała o tym. Nauczyła się żyć ze swoim brzemiem, ale zawsze żał dławił w gardle, gdy w drodze do wioski gromada brudnych dzieciaków ciskała za nią grudkami ziemi, wrzeszcząc:

– Patrzcie! Idzie wiedźma z klifów! Czarownica! Wiedźma!

Nigdy się nie odgrażała, nie złorzeczyła, nawet na nich nie patrzyła. Kuliła tylko ramiona i przyspieszała kroku, by czym prędzej zostawić za sobą rozkrzyczaną zgraję.

II

Miejscowi nie kupowali wyrobów Marike. Mijali z daleka kącik, w którym zwykła siadać z towarami.

Mężczyźni, jeżeli zdarzało się im przechodzić obok, spluwali pogardliwie na ziemię. Kobiety odwracały spojrzenia i twarze, bo przecież „wiedźma” mogła rzucić urok bodaj złym wzrokiem, więc z pogardliwą bojaźnią unikały spoglądania w dziwne oczy koloru morskiej wody.

Nikt w okolicy, poza Marike, nie miał takich oczu. Dla ludzi był to kolejny dowód, że dziewczyna musi być czarownicą. Jednak ona nie śmiała zaglądać ludziom w twarze, zwykle skupiając wzrok na ich stopach.

Handel na jarmarku był przykrą koniecznością. Szczęściem na targ przyjeżdżali także mieszkańcy innych wiosek, a czasem zaglądali handlarze poszukujący bursztynu. U nich można było wymienić cenne bryłki na różnego rodzaju dobra lub brzęczącą monetę.

Matka wychowywała ją w samotności i Marike nigdy nie miała kontaktu z innymi dziećmi, ze swoimi rówieśnikami. Dziecko jednak łaknęło przyjaźni i akceptacji innych dzieci. Kiedyś,

siedmio-, może ośmioletnia, pchana dziecięcą ciekawością, wypuściła się na samotną wycieczkę w poblizze wioski. Zbliżyła się do gromadki dzieciaków w różnym wieku, zajętych hałaśliwą zabawą w pylistym piachu na gościńcu. Onieśmielona obserwowała, stojąc w oddaleniu. Słyszała, jak dzieci nawołują się po imieniu, jak się śmieją.

Zauważyli ją w końcu i pokazywali sobie, wyciągając ręce.

Podszedł do niej chłopak o szarych, wodnistych oczach i rudych, rozczochranych włosach. Serce małej Marike zatrzepotało nieśmiałą nadzieją, że pozwolą jej się przyłączyć do wspólnej zabawy.

– Jak się nazywasz? – zapytał chłopak ostro i wzięwszy się pod boki, spoglądał na nią z góry. Przewyższał ją wzrostem i z pewnością był starszy.

Nie uśmiechał się, brwi ściągnął groźnie, a mimo to gardło dziewczynki ścisnęło wzruszenie i nie mogła wydobyć z siebie głosu, bo odezwał się do niej, właśnie do niej!

– No, co tak sterczysz? – Chłopak szturchnął ją brutalnie. – Nie umiesz gadać? Skąd jesteś? Nie znamy cię.

– Marike... – Ponagliana wykrztusiła wreszcie swoje imię. – Jestem stamtąd... – Wskazała za siebie. – Z klifów.

– Z klifów? – Rudzielec zmrużył oczy. – Jesteś córką Beire z klifów?

– Tak. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Moja mama...

– Twoja matka to czarownica! – Przerwał jej. – A ty jesteś dzieckiem morskiego diabła! Jesteś śmierdzącą rybą!

Uśmiech na twarzy Marike zgasł. W oczach obcego chłopaka płonęły wstręt i nienawiść.

– Ja wcale nie... – szepnęła, próbując wytłumaczyć, ale chłopak pchnął ją tak mocno, że upadła na plecy.

– Wynoś się stąd! – wrzasnął i bosą stopą wymierzył dziewczynce tęgiego kopniaka w bok.

Krzyknęła z bólu i ze strachu, bo pozostali też się zbliżyli i nikt

nie miał zamiaru stanąć w jej obronie. W dłoniach ściskali patyki, grudki ziemi, kamienie. Szarpali ją i kopali.

– Ryba! Uciekaj stąd! Cuchnąca ryba! Wynoś się! Idź sobie!

Przerażona zerwała się z ziemi i osłaniając rękoma głowę przed padającymi zewsząd razami, zaczęła uciekać na oślep.

Długo jeszcze gończyły ją krzyki i urągania, a ciskane kamienie nabijały sińce i raniły ciało, nim wreszcie udało się jej w lesie zgubić napastników. Płakała gorzko, nie pojmując nienawiści i agresji ze strony tamtych, bo przecież nic im nie zrobiła. Bała się wrócić do domu w zniszczonym odzieniu. Była jednak tylko małym, przerażonym dzieckiem i w końcu lęk przed spędzeniem nocy samotnie w lesie zwyciężył.

Matka oczywiście gniewała się i surowo nakazała w przyszłości trzymać się z dala od wioski i tamtejszych dzieciaków. Potem troskliwie opatrzyła skaleczenia i sińce i ukołysała w ramionach, nucąc jakąś pieśń.

Matka nigdy nie mówiła o ojcu. Tylko raz Marike zapytała o niego.

– Twój ojciec... Musiał odejść. Nie pytaj, moje dziecko. Wspomnienia rodzą ból...

Nie pytała...

III

Słońce wschodziło się na pogodnym niebie, z którego nocna wichura przepędziła ołowiane chmury. Wiatr nadal wiał chłodny, ale teraz niezbyt silny. Promienie jutrzeńki wydobywały delikatne barwy różu, fioleto i brązu z wrzosowisk ciągnących się szerokim pasem, pomiędzy krawędzią klifów aż po las widoczny w oddali.

Wzdłuż wybrzeża, skrajem urwiska, biegł bity trakt, przy którym leżały nadmorskie wioski. Samotna, maleńka, pokryta darnią chatka na wrzosowiskach wyglądała na tej równinie jak niewielki kopczyk.

Spis treści

<i>Rozdział pierwszy: Tryton</i>	4
<i>Rozdział drugi: Archipelag</i>	35
<i>Rozdział trzeci: Syrena</i>	74
<i>Rozdział czwarty: Zmienne prądy</i>	102
<i>Rozdział piąty: Wyspy</i>	133
<i>Rozdział szósty: Cisza</i>	167
<i>Rozdział siódmy: Zatoka Snów</i>	204